

Piotr podjechał na postój TAXI przy małym dworcu PKP w kurorcie Zatoka. Ziewnął szeroko, by odpędzić resztki snu, bo pora była wyjątkowo wczesna, a potem odruchowo rozejrzał się dookoła, czy przypadkiem nikt nie widział tego ziewnięcia, w jego mniemaniu oznaki słabości i złej kondycji. A Piotr chciał uchodzić za okaz zdrowia i młodości, choć dobiegał już pięćdziesiątki. Robił wszystko, by być wciąż atrakcyjnym, zwłaszcza dla pań, choć w duchu z bólem serca musiał przyznać, że „te sprawy”, niestety, coraz mniej go kręciły.

Odruchowo spojrzął do lusterka samochodowego, które, przy takim natężeniu ruchu jak w Zatoce, służyło mu głównie do oceniania własnego wyglądu. Był zadowolony, a wręcz dumny z aparycji człowieka, którego ujrzał w odbiciu. Żaden z kolegów z Facebooka nie miał tyle klasy co on. Był wysoki, wysportowany, a jego styl mogliby polecać w pismach młodzieżowych. Tak przynajmniej sądził. I chyba słusznie.

Lekko podfarbowane włosy (o czym, oczywiście, nikt nie wiedział, bo farbował sam, a profesjonalną farbę zamawiał na Allegro w opakowaniu z napisem „sprzęt techniczny”) miały kolor dojrzałego zboża. W dodatku były gęste i sięgały mu prawie do ramion. Wdzięczny był Opatrzności za to, że obdarzyła go siwizną, a nie łysiną. Siwiznę można z łatwością ukryć, łysinę, przynajmniej w pewnych sytuacjach, niestety nie.

Włosy na czole przewiązywał zwykle czerwoną przepaską, a w uchu nosił kolczyk w kształcie kotwicy – piękne wspomnienie marynarskich czasów.

Nie żałował pieniędzy na markowe džinsy i koszulki – one dobrze podkreślały jego zgrabną sylwetkę, szerokie ramiona, płaski, ale umięśniony brzuch i... no cóż, słyszał to nie raz, zgrabne pośladki. Teraz też miał na sobie T-shirt z napisem „I'm the Best”¹ i lekkie lniane spodnie marki Marks & Spencer. Szortów nie nosił z zasady, nawet w upalne dni, uważając je za mało męskie. Taka jest cena wizerunku!

Gdy upewnił się, że wygląda wystarczająco dobrze, rozejrzał się dookoła raz jeszcze. Wciąż na nowo zachwycał się urokiem swojej miejscowości. Zatoka była pełna zieleni i piasku, bowiem w kilku miejscach krzyżowały się drogi znad morza w kierunku niedużej, urokliwej zatoczki. Skrywały je cieniste alejki sosen i buków, które nadawały miejscowości nieco

¹ *I'm the Best* (ang.) – jestem najlepszy.

sanatoryjny klimat. Toteż Rada Miejska postanowiła ładnych parę lat temu poprowadzić przez centrum piaszczyste ścieżki, aby przywrócić miasteczku charakter czysto morski. Wydobywano piasek z dna morza, potem łączono go z impregnatem, aby był mniej lotny, i wysypywano nim dróżki. Efekt był niesamowity. Ścieżki wyglądały na tak naturalne, jakby wdarła się tu plaża ze swoim białym piaskiem. Oczywiście była tu i cywilizacja w postaci pięknego deptaka z ciemnocieglastej kostki przetykanej kawałkami piaskowca, placu z kutymi latarniami w stylu secesyjnym i nawet normalnego skrzyżowania z sygnalizacją. Było, przynajmniej w sezonie, mnóstwo małych sklepików, straganów i cukierni, które rozlokowane wśród drzew, trawników i wielkich kwitnących na różowo i czerwono rododendronów nie szpecily krajobrazu, a wręcz dodawały mu uroku. Giętke krzeselka wystawione przed kafejkami, kosze z pachnącą lawendą, pnącymi nasturcjami oraz wiklinowe stoliki wprowadzały nostalgię i cień klimatu międzywojnia, kiedy to osada rozkwitała. Jednak to właśnie zieleń drzew i idealnie przystrzyżonych trawników oraz piaszczyste ścieżki malowały swoisty obraz Zatoki. Tak przynajmniej myślał Piotr, mężczyzna z krwi i kości, któremu drobiazgi w postaci koszyczków, kwiatuszków i świeczuszek wydawały się bez znaczenia. Stara, drewniana stacyjka, otoczona wianuszkami leciwych bzów i modrzewi, dopełniała tego pejzażu i sprawiała, że można go było kontemplować przez długi

czas. Bure i rude koty, leżące grzecznie na kamiennych parapetach stacji i oczekujące na pierwsze promienie wędrującego gdzieś za lasem słońca, wtapiały się w lekką melancholię obrazu, któremu można by nadać tytuł „ciche życie”. Tę przyczajoną zadumę przerwał gwizd pociągu Kossak, który powoli, jakby zmęczony całonocną jazdą, wtaczał się na dworzec, rozbijając poranne mgły. Dworzec to też nazbyt wyrośnięte określenie. Był to bowiem tylko jeden peron z ogromnym napisem „Zatoka” i rozkładem jazdy na stylizowanym na latarnię morską słupie ogłoszeniowym. Po chwili wagony zatrzymały się, a drzwi automatycznie otwierane sapnęły z ulgą. Już nie musiały ścisnąć się nawzajem i podtrzymywać, lecz szeroko rozpostarły ramiona. Tak zawsze myślał o nich Piotr, nie zdając sobie sprawy z tego, że ma naturę romantyka i marzyciela. Zaczęli wychodzić podróżni, pomimo wczesnej pory wyspani, nie utrudzeni, lecz radośnie patrzący na świat. No tak, tu nie przyjeżdżają ludzie biedni, którym ledwie wystarcza na bilet kolejowy drugiej klasy i nocleg w namiocie. Tu przyjeżdża się albo własną limuzyną, albo pociągiem klasy LUX. Niemal cały skład pociągu to przedziały sypialne, a wiele z nich ma podwyższony standard. Nawet staruszek Wars obsługiwany jest przez znaną warszawską firmę cateringową o wyszukanej nazwie Crème Brûlée. Jedyne w oknach dumnie powiewają jak relikwii z PRL-u zasłonki w brązową kratkę z napisem PKP.

Piotr ciekaw był, kogo tym razem będzie wiózł. Tak sował wzrokiem podróźnych, poszukując samotnych kobiet. No, w pewnym sensie czuł się jak zboczeniec. Był sam od ponad dziesięciu lat. Podświadomie szukał swojej drugiej połówki po nieudanym związku, który, jak na ironię, zakończył nie on, znany w młodości jako macho łamiący kobiece serca, tylko jego skromna żona, uosobienie niemieckiego wzorca pani domu, czyli niemal *Kinder, Küche, Kirche*². Miała więcej odwagi i po prostu go zostawiła, wcześniej zdradziwszy z jego jedynym przyjacielem, uciekając potem na Alaskę, jakby nie było bliższego Instytutu Glacjalnego niż w Anchorage. Ślub cywilny, jaki ich łączył, można było bez trudu rozwiązać. A córkę, siedemnastoletnią dziś Amelkę, można równie łatwo zostawić babci. Nie, nie jemu, nie ojcu. Jego była udowodniła przed sądem, że Piotr nie nadaje się na opiekuna dziewczynki, choć kochał ją nad życie. Teraz, z perspektywy czasu, wiedział, że do miłości też trzeba dojrzeć i że nawet największe uczucie bardzo łatwo stracić. Mała, a teraz już zupełnie duża, Amelia mogła się z nim spotykać tylko w wyznaczone dni roku, a on tęsknił za nią jak wariat i ubóstwiał bezgranicznie. Właściwie mógł być zadowolony. I tak spędzał z dzieckiem więcej czasu niż jego była żona, która pojawiała się w Polsce raz lub dwa razy do roku, bez reszty poświęcając się pracy naukowej. Tak przynajmniej podejrzewał,

² *Kinder, Küche, Kirche* (niem.) – dzieci, kuchnia, kościół.

bo wszelkie kontakty zostały zerwane i nigdy nienawiązane na nowo. Tę samotną wędrówkę po wspomnieniach przerwał mu skrzekliwy głos:

– Pan wolny?

Jednocześnie, jak na przeciwległym biegunie, ujrzał kobietę cud, kobietę marzenie, całą w słonecznych barwach. Ciemne, długie włosy współgrały z żółtą sukienką w jeszcze bardziej żółte tulipany.

– Pytałam grzecznie, czy pan wolny? – zaskrzeczał znowu głos i Piotr z wyraźną ulgą dostrzegł, że głos i postać to dwa różne światy! Kobieta w żółtej sukni stała na wysokości jego wzroku, z przodu auta, a głos należał do pulchnej kobietki, która zaglądała uporczywie przez otwartą boczną szybę samochodu.

– Tak, wolny, oczywiście – odpowiedział i pomyślał, że wołałby te słowa skierować do tej z przodu, ale cóż. Trzeba wyzbyć się marzeń i zarabiać.

Do samochodu weszła więc skrzekliwa damulka cała ubrana na zielono, w słomkowym kapeluszu z turkusową wstążką, a za nią, wierny jak pies, mężczyzna w żółtych galotkach i koszuli w zielone kwiaty. On, dla odmiany, miał zielone okulary przeciwsłoneczne.

– Walizki, panie kierowco, walizki! – przypomniał jęgoty z miną wiecznego sybaryty o nieco cynicznym uśmiechu. Piotr wyskoczył jak młodzianek, nie tyle z chęci natychmiastowego obsłużenia swoich shrekopodobnych klientów, co z przemożnej potrzeby spojrzenia jeszcze raz na słoneczną dziewczynę, jak

ją w myślach nazwał. Ale ona zniknęła gdzieś w tłumie podróżnych, idących w stronę centrum osady.

– Dokąd? – zapytał, upchnąwszy trzy pękate walizy i dwie torby podróżne do bagażnika.

– Ośrodek wypoczynkowy przy ulicy Plażowej, poprosimy – zażądała tonem księżnej Shrekopodobna.

– Już się robi, proszę państwa. – I tak rozpoczął kolejny dzień pracy.

Tymczasem słoneczna dziewczyna nie była wytworem wyobraźni. Była kobietą bardzo konkretną, bardzo, czyli dokładnie siedemdziesiąt osiem kilo, co sprawdzała skrupulatnie, niemal co dzień stając naga na łazienkowej wadze. Nie pomogły żadne diety mórz południowych, niełączenia czy Dukan³. Wszystko było nieskuteczne, bo... Agata po prostu lubiła jeść. Lubiła też gotować. Lubiła poznawać nowe smaki, lubiła eksperymentować z nowymi przepisami i pomysłami. Lubiła wszystko, co radowało jej wrażliwe podniebienie. Od smaku prawdziwej czekolady w tabliczce lub w filizance, na zimno, na ciepło, z dodatkami i bez, aż po smak ogórków kiszonych i własnoręcznie lepionych pierogów. Była hedonistką, jedzenie sprawiało jej dużą frajdę i pilnowała tylko, żeby nie przekroczyć magicznej dla niej wagi – siedemdziesięciu dziewięciu kilogramów. Zawsze mogła wtedy powiedzieć koleżankom,

³ Dieta Dukana – dieta polegająca na zwiększeniu spożycia białka oraz ograniczeniu węglowodanów i tłuszczów.

że waży trochę ponad siedemdziesiąt kilogramów. Gdyby to było osiemdziesiąt, już ten wybieg byłby dla Agaty – osoby uczciwej i prawej – wyrzutem sumienia.

Nawet ostatnie przeżycia nie odebrały jej krągłości, za to odebrały spokój, wielu przyjaciół i bezpieczeństwo dnia codziennego. Nigdzie się już nie spieszyła, więc do hotelu doszła pieszo z małą walizką na kółkach i żółtą torbą, przewieszoną przez ramię. Budynek pensjonatu zachwyił ją już od pierwszego wejrzenia. Dwupiętrowa kamieniczka odbijała się od ciemnej ściany zieleni bladoniebieską elewacją. Prawie wszystkie okna hoteliku były otwarte i powiewały w nich białe lub błękitne firaneczki. Przed wejściem stał ogromny gazon (słowo zapomniane, ale bardzo adekwatne do tego, co zobaczyła) z biało-różowymi pelargoniami. To była jakaś szczególna odmiana, bo płatki kwiatów były bardzo jasne, a ich brzegi kończyły się zieloną lub różową obwódką. Wyglądały jak egzotyczne róże lub georginie i tylko płaskie talerzyki liści przypominały, że są to pelargonie. Pochyliła się nad cudownej urody kwiatami, a w nagrodę dostrzegła pomiędzy nimi małą tabliczkę z logo firmy wykonującej ukwiecenie i nazwą tej odmiany – *Apple-blossom Rosebud*. Postanowiła zapamiętać tę nazwę, by kiedyś posadzić ową roślinę przed swoim domem... Jeśli w ogóle takie czasy nadejdą. Westchnęła i pchnęła szklane, odbijające promienie słoneczne drzwi.

Po wejściu do recepcji zareagowała pozytywnie na cudowne zapachy dochodzące z jadalni. Była pora

śniadania i woń kawy mieszała się z aromatem świeżego pieczywa, masła, szczypiorku, co z kolei przywoływało wspomnienia z dzieciństwa i spokój, którego tak potrzebowała. Oby tylko nie posadzili jej przy stoliku ze staruszką opowiadającą o wszystkich swoich chorobach jak o największych cudach albo z anorektyczką typu Barbie, która zjada z półmisków tylko dekoracje w postaci liści sałaty i patrzy na innych, jedzących normalnie, jak na kanibali.

Ustawiła się w niedużej kolejce do recepcjonistki, która wyglądała świeżo i miło w swoim biało-czarnym stroju. Przed nią stała jakaś hałaśliwa kobieta o blond włosach skołtunionych trwałą, przypominająca jej Fionę ze *Shreka*, zarówno typem figury, jak i kolorytem stroju, tylko była od niej znacznie mniej sympatyczna. Obok niej dreptał facet o rubasznym wyglądzie Shreka, w dziwacznej koszuli. Widać było, że ci dwoje, choć już nieco starsi, byli w sobie mocno zakochani. A może niedawno się pobrali? Na ich palcach błyszczwały szerokie złote obrączki.

Agacie, która przez chwilę odsunęła swoje problemy gdzieś daleko, łzy zakręciły się w oczach, czym prędezej odebrała więc klucz od pokoju i niemal pobiegła w kierunku windy, razem ze swoją niedużą walizką. Pokój wyglądał skromnie, ale rekompensatą był przebogaty zapach morza, ogrodu i żywicy płynący z za otwartego okna. Wietrzyk poruszał lekką firanką, a słońce rozkładało swe przedpołudniowe cienie na kanapie, fotelach

i niedużym stoliku. Szpara w drzwiach łazienki zachęcała niebieskim poblaskiem kafelków. Agata zrzuciła sukienkę, buty i bieliznę i wpadła do przybytku czystości jak do upragnionej krainy rozkoszy... Nareszcie! Zmyć z siebie ostatnie dni i odpoczywać, odpoczywać, odpoczywać.

*

Tymczasem Piotr krążył po Zatoce, wożąc coraz to nowych pasażerów, których wciąż przybywało. Zaczął się sezon. Na dobre! Pomimo nagłaśnianego przez media kryzysu, ludzi nie było mniej niż zwykle. Lubił tę swoją sezonową pracę, choć tak naprawdę podstawowym źródłem dochodu Piotra była EMERYTURA!!! Ale jak on mógłby komuś powiedzieć, że jest EMERYTEM!?! Został nim już w wieku czterdziestu dwóch lat jako zasłużony oficer straży granicznej. Pragnął odpoczynku, ale potrzebował też pracy, żeby jakoś funkcjonować. Nie, nie finansowo. Pokażna emerytura starczała na dostatnie życie, wyjazdy, upominki dla córki. Ale on potrzebował pracy, żeby istnieć jako człowiek, żeby nie popaść w depresję i nałogi po nieudanym małżeństwie, samotności i swoistym wyobcowaniu, które właściwie ciągle mu towarzyszyło. Praca taksówkarza to był pomysł na spotkanie nowych ludzi, na życie niejako w tłumie. A jednocześnie dawała mu poczucie wolności

i niezależności po latach wojskowej rutyny. Nigdy nie żałował swojej decyzji, a i jego klienci chwalili go i traktowali jak przyjaciela. *Don't worry, be happy* zagrała mu komórka. Ten sygnał miał ustawiony wyłącznie dla Amelki.

– Tatku, jadę do ciebie na całe wakacje, co ty na to?

– Ja na to jak na lato! – wykrzyknął starym głupim powiedzonkiem, bo zabrakło mu słów ze szczęścia. – Ale jakim cudem babcia puściła cię do mnie na tyle czasu? – dodał, gdy ochłonął po pierwszej fali radości.

– Oj, dostała sanatorium, spełnienie jej marzeń o romantycznych spacerach w Ciechocinku. Więc jedzie na dwa turnusy! Jeden z NFZ, a drugi sobie sama, rozumiesz, sama! dokupiła, a ja jadę do ciebie. Pa! Do zobaczenia! Napiszę ci, kiedy przyjeżdżam. – I szybko, bez sentymentów, jak to ona, rozłączyła się.

– O Boże! Dzięki ci! – wykrzyknął Piotr, na użytek własny, a nie przechodniów, którzy odskoczyli przeżeni. I zaczął snuć plany na całutkie wakacje z córką. I myśleć o prezencie dla niej.

– O Matko Boska! – zawołał, nie na widok cudu bynajmniej, lecz na widok słonecznej dziewczyny, z którą niemal się zderzył, wychodząc w biegu z knajpki U Kolumba po szybkiej, wczesnej kolacji. Stała, wpatrując się w mapę kurortu przyklejoną starannie na drzwiach pubu. Wyraźnie czegoś szukała, więc, mając z natury szybki refleks, postanowił wykorzystać sytuację.

– Może pani pomóc? – rzucił niemal w przestrzeń.

– Nie, dzięki. – Spłoszyła się, a wręcz przestraszyła. Nawet nie spojrzała na niego, tylko nadal wpatrywała się w jakiś punkt na mapce. Szybko odwróciła głowę, nie zaszczyciwszy go uśmiechem. Poczul się tak, jakby powiedziała „spadaj”.

Aga tymczasem nie zauważyła zainteresowania, jakie wzbudziła. A tam! Ona nawet nie dostrzegła człowieka. Odruchowo coś odpowiedziała zajęta penetrowaniem mapy. Odnalazła na planie kościół. To tego miejsca tak pilnie poszukiwała. Teraz szła w jego kierunku poprzez bujny sosnowy las. Nic dziwnego, że wieży kościoła nie mogła dostrzec z daleka. Dookoła rosły bowiem najwyższe drzewa w okolicy. Zresztą, jak się okazało, wieży tu w ogóle nie było. Kościół, czy może raczej kaplica, był długim kamiennym budynkiem na wzór wczesnochrześcijańskich bazylik, z tympanonem zamiast wieży nad wejściem. Na trójkątnym ogromnym polu jakiś zdolny artysta namalował Matkę Bożą idącą przez morze z Dzieciątkiem na ręku. Maria mocno tuliła chłopczyka do siebie, zasłaniając go przed zimnymi falami. W Agacie, skłonnej do łez, obraz natychmiast spowodował przyływ smutnych uczuć i mokre oczy. Tak chciałaby, by ktoś ją tak osłaniał i tulił... bo tego zawsze miała za mało.

Rodzice, owszem, kochali ją, ale byli zbyt zapracowani, zajęci i zbyt PRL-owscy, by okazywać jej swoje uczucia. Dla nich ciągle na pierwszym miejscu była

praca, a ją wychowywała babcia, niania, panie przedszkolanki, a potem nauczycielki. Zresztą w szkole też nie było jej łatwo. Chodziła do klasy razem z dziećmi wysokich urzędników państwowych i choć wiele razy zasługiwała na nagrodę, to zwykle pomijano ją, a dyplomy rozdzielano hojnie dzieciom z nazwiskami i ich rodzicom. Spojrzała jeszcze raz na fale otaczające obraz Maryi i weszła do środka. Nie patrząc nawet na ołtarz, skierowała się do konfesjonału, który dziś był jej głównym celem. Zobaczyła, że z drewnianego okienka zwisa stuła, co znaczyło, iż ksiądz dyżuruje. Podeszła, stukając obcasami, aż kilka osób czekających na nabożeństwo nerwowo się obróciło. To jej nie wzruszyło. Klękła przy wielkim, drewnianym konfesjonale, zrobiła znak krzyża i rozplakała się jak małe dziecko – rzewnie, żałośnie i co najgorsze – bardzo, bardzo głośno, z chlupaniem i pociąganiem nosem. Teraz już wszyscy zgromadzeni w kościele zaczęli się odwracać jak na komendę przy każdym głośniejszym szlochu, a co bardziej zainteresowani, a raczej zainteresowane wręcz patrzyły bez ruchu w kierunku konfesjonału, mimo że zaczynała się właśnie msza święta.

Ksiądz, a właściwie ojciec kapucyn w brązowym habicie, wychylił się dyskretnie i szepnął:

– Cicho, dziecko, no cicho, cichutko. Zapukam w kratkę dla niepoznaki, że niby cię rozgrzeszam i pójdziemy kontynuować tę spowiedź w parku przykościelnym. Chcesz?

Agata kiwnęła tylko głową i szybko wyszła z kościoła. Tym razem stukot jej obcasów został zagłuszony przez głośny akord organowy. I całe szczęście, bo oprócz stukotu kobieta wyprodukowała taką serię spazmów, jakiej nie powstydziliby się sama Trędowata Mniszkówny.

Obok kościoła było małe, sztucznie utworzone źródło, nazwane, *nomen omen*, źródłem miłości. Agata przykucnęła nad nim i ręką nabierała przejrzystą wodę, piła chciwie i przy okazji przemywała zapłakaną twarz. Wokół szumiały sosny, baraszkowały ptaki, kołysały się białe lilijki świętego Józefa... No Mniszkówna po prostu... A ona wypłakiwała wszystko... Wypłakiwała dzieciństwo w cudnym, podmiejskim domu, kiedy to zostawała ciągle sama ze swoimi marzeniami, z jedną lalką szmacianką, którą dostała na czwarte urodziny. Potem kupiła sobie kolejną, już nie szmaciankę, tylko plastikową z zamykanymi oczami, za pieniądze, które dostała na pierwszą komunię. Przytulała się do zimnego plastiku pięknej lali, gdy czuła się samotna. Wypłakiwała szkołę, w której, mimo że była w końcu najlepszą uczennicą, ciągle była wieśniarą... nawet dla nauczycieli. Zresztą wieśniara nie była taka najgorsza. Ogromna część dzieciaków w klasie pochodziła z domków z ogródkami, i ci właśnie byli nazywani wieśniakami, w odróżnieniu od elity, która mieszkała w eleganckich nowych blokach. Wołano na nią jeszcze żyrafa i mleczarnia, bo oprócz wysokiego, jak na swój wiek, wzrostu,

miała jeszcze wielki biust. Wyplakiwała trudy dostania się na wymarzone studia dziennikarskie, kiedy to chyba sam anioł jej pomógł, bo nie miała żadnych znajomości, a wtedy właśnie to było podstawą dostania się na uniwersytet. Wyplakiwała różne upokorzenia, które spotykały ją ciągle i z różnych stron, zanim jakoś stanęła na nogi i zaczęła pracę w redakcji jednego z lokalnych pism w Lublinie. Wyplakiwała w końcu ostatnie wydarzenia, które sprawiły, że znowu poczuła się przegraną.

Tak bardzo pragnęła wyjść za mąż, stworzyć fajną rodzinę, a przede wszystkim kochać i być kochaną, zaspokoić w końcu deficyt miłości, deficyt, który ciągnął się za nią przez całe dotychczasowe życie. Brzmiało to banalnie i zupełnie nienowocześnie, ale tak właśnie było. Poznała Adama. Zauroczył ją samą chęcią kochania jej. Ba! Była pewna, że zakochała się w nim, ale prawda była chyba taka jak w kiepskich serialach – że po prostu chciała wierzyć w tę miłość. A on wyciął jej beznadziejny numer... Obwiniła jego i tylko jego o to, co się stało.

– Nie płacz, Agatko, no, co się dzieje? – Tuż za jej plecami stał ojciec, u którego przed chwilą usiłowała się wypowiedzieć.

– Skąd ojciec zna moje imię? – wykrzyknęła i dostała czkawki. Sytuacja była na tyle komiczna, że po chwili oboje wybuchnęli śmiechem, który, tak samo jak wcześniejszy płacz, był mocny, perlisty i... skończył się łzami, przynajmniej u Agaty.

– Masz taki napis na torbie, zaryzykowałem, a przy okazji przepraszam, że nie „pani Agatko”, ale wyglądałaś tak żałośnie, jak mała dziewczynka...

– Bo byłam nią znowu... – odpowiedziała szczerze kobieta.

– No, co się stało? – zapytał, patrząc jej w oczy. Miał brązowy kapucyński habit, lekko siwiejące włosy i bardzo uważne, ciepłe spojrzenie. Był nieco starszy od niej, nosił awangardowe jak na zakonnika okulary i po prostu był kapucynem. A ona miała słabość do habitu od czasu, gdy w latach studenckich znalazła swoje miejsce na ziemi w duszpasterstwie akademickim. Brat wyciągnął do niej rękę. – Krzysztof Rubaszny.

Odwzajemniła nieśmiało gest.

– A teraz powiedz w końcu, co się wydarzyło? Straciłaś kogoś bliskiego? Takie łyzy towarzyszą zazwyczaj tylko takim zdarzeniom... No, chyba że jakaś tragiczna miłość?

Agata zarumieniła się jak dorodna muffinka ze swoimi rumianymi policzkami. I znowu bolesne łyzy pociekły jej po twarzy.

– O Boże, jak dobrze, że nie jestem twoim mężem, utopiłbym się w twoich łzach już pierwszego dnia.

– No właśnie, nie było żadnego pierwszego dnia!!! Nie było męża!!! Rozumiesz??? Uciekłam sprzed ołtarza!!! – wykrzyzczała Aga przez kolejną falę łez.

– Ożeż ty, ożeż ty! Nieźle!!! A wyglądasz tak niewinnie z tymi zapłakanymi oczyskami – wykrzyknął, ale

zaraz spowaźniał, widząc, jak młoda kobieta truchleje na samo wspomnienie.

– Chodź, opowiesz mi wszystko po kolei, to będzie taka spowiedź poślubna. – Próbował jeszcze żartować, ale Agacie zdecydowanie nie było do śmiechu.

Objął ją za trzęsące się ramiona, nie bacząc na nobliwą parę spacerującą w pobliżu. Agata przytuliła się do niego na chwilę jak do ojca, a przed oczami stanęły jej przeżycia ostatnich miesięcy. Zaczęła opowiadać, a w głowie przesuwały się obrazy jak z filmu.

Adama poznała na kursie tańca dla samotnych w Akademii Tańca w jej rodzinnym Lublinie – mieście po wschodniej stronie Wisły, czyli Polska B. Marne szanse na pracę, a jeszcze mniejsze na faceta. Najprzystojniejsi są tam księża, bo kościołów, pięknych kościołów, nie brakuje, a naród jest naprawdę pobożny. Początkowo myślała nawet, że Adam to też ksiądz, który uczy się poloneza i walca przed studniówką u swoich uczniów. Ale, na szczęście dla niej, złudzenie okazało się tylko złudzeniem, a Adam – wolnym, normalnym facetem. Tańczyli razem nieudolnie, ale inne dziewczyny, a raczej kobiety, patrzyły wręcz z zazdrością, że udało jej się kogoś poderwać. Ją samą też to dziwiło. Ona – łabajza, jak mówiono na nieudaczników w jej regionie – poderwała faceta... Adam był przystojnym mężczyzną, cokolwiek to znaczy. Tak go opisywały zawistne koleżanki, pytając: „Jak poderwałaś tego przystojniaka?”. A on miał niebieskie oczy, króciutkie blond

włosy, smukłą sylwetkę i był dokładnie rok młodszy od Agaty. W dodatku nie jakiś tam „odzysk”, tylko kawaler, prawdziwy kawaler. Dla Agi, osoby wierzącej, było to bardzo ważne. Ślub kościelny i te sprawy.

Na bal karnawałowy poszli już razem. Kupiła sukienkę z dużym dekoltem i wyszczuplające majtki. Wydała pół dziennikarskiej pensyjki na fryzjera w Lublinie i prawie dwie stówy na dobry tusz do rzęs. Ale warto było. Wyglądała o rozmiar mniej, a tusz podkreślił pięknie ładną oprawę jej oczu. Włożyła też czarne szpilki pasujące do małej czarnej i do wysokiego wzrostu Adama. Żywe kwiaty storczyków we włosach dopełniły, jak to mówią, całości obrazu i tym nieświadomie dobiła koleżanki, z których żadna nie wpadła na taki pomysł.

A po balu Adam, który nie wypuszczał jej z ramion przez cały wieczór, zaproponował jej małżeństwo. Agacie wydawało się, że dostała gwiazdkę z nieba i że świata poza Adamem nie widzi. Tak jej się wydawało, a raczej wtedy była tego pewna. A potem wszystko potoczyło się szybko i pięknie, jak to bywa w takich sytuacjach. Randki, spotkania, nauki przedmałżeńskie, lista gości, wreszcie piękna bezowata suknia ślubna, jaką nowoczesne dziewczyny wyśmiewają, bo aż tak jej pragnęła. Zaprosili mnóstwo gości, szczególnie ona. Adam o swojej rodzinie mówił mało. Twierdził, że mają bardzo luźne kontakty między sobą, że były jakieś konflikty, zwłaszcza z bratem, który jest za granicą, więc i tak na ślub nie przyjedzie. A Agatce było to obojętne.

Najważniejsze, że wkrótce mieli być razem. Nie razem, a wręcz „Ja tobą, a ty mną”, jak mawiał Adam o kwintesencji małżeństwa.